

Zielona słuchawka drży na monitorze. Pani „psycho” nie daje za wygraną. Przyglądam się pulsującym kolorom na powierzchni półprzezroczystego, elastycznego ekranu. Za ścianą słychać brzęk tłuczonego szkła. Pusta butelka spoczywa u stóp w kałuży podrzędnego trunku, kapiącego kropla po kropli z mojej twarzy. Za oknem pijane śpiewy, szum elektrycznych aut. Odgłos spuszczonej wody w kiblu. W rogu ekranu bezlitosne zero procent. Uderzam ręką w monitor.

– Jesteś tam jeszcze? – pytam.

– Jestem – odpowiada.

– To dobrze... Możemy zaczynać...

* * *

Deszcz... Ketra w deszczu. Deszcz płynie ulicami miasta, tworzy potoki, rzeki, wodospady. Wlewa się do butów i próbujących złapać oddech gardeł. Rozgania ludzi po domach. Podmuch wiatru wyrywa kobiecie parasol z ręki. Widzę, jak dostaje falą zimnego deszczu prosto w twarz. Próbując osłonić się rękoma, rusza w krótką pogoń za zbiegiem. Ciężka od wody sukienka oblepia jej ciało. Wreszcie, zniechęcona kolejną i jeszcze kolejną chłostą, zataczając się na szpilkach, znajduje schronienie w drzwiach baru po przeciwnej stronie ulicy.

Niebo nad nami jest przykryte jednostajnie szarą powierzchnią nisko sunących chmur. Dopiero po chwili dociera do mnie, że wieże Ketry też utonęły w kłębiastych odmętach. Upiłowane u nasady, wyglądają jak wycięty las – smutno i martwo. Bez zrozumienia gapię się w to miejsce na niebie, zwykle zajmowane przez ogromną,

błękitną wyrwę w chmurach. Czuję, jak panika spływa dreszczem wzdłuż kręgosłupa. A może to zimno. Bo jestem na wskroś przemoczony.

– Hej, starcy miejsca dla wszystkich!

Kobieta bez parasola trzyma dla mnie uchylone drzwi restauracji.

W środku śmierdzi wilgocią. Nikt nic nie zamawia. Ludzie tłoczą się przy małym monitorze podwieszonym w rogu ciasnej sali, który nadaje wiadomości na żywo. Rozmawiają szeptem, spekulują w oczekiwaniu na wyjaśnienia. Młody typ w dredach zakłada się z kolegą o dychę, że za wszystkim stoi jakiś haker. Drugi obstawia przypadkową awarię systemu.

– Gównu się dowiemy, jak zawsze – komentuje ktoś w tłumie.

– Nawet w niebie pada deszcz... – starsza pani mówi do mnie, a może tylko do siebie.

Powiniennem jak najszybciej się stamtąd wynosić. Zdążyłem przejść w tej ulewie zaledwie trzy, może cztery ulice. Do hotelu już niedaleko. Ale jednak muszę tu zostać. Zalecenie pani doktor. Almeida powiedziała, że muszę wzbudzić w sobie ciekawość dziecka i powoli, ale systematycznie zacząć oswajać rzeczywistość wokół siebie. Od pokoju, przez podwórko, ulicę i miasto, do momentu, w którym poczuję się obywatelem świata. Mam podróżować, eksperymentować i poznawać reguły nowej gry. Przy tym wszystkim cały czas bardzo starała się, żeby nie określić mnie mianem „upośledzonego”. Zanim rozłączyliśmy się o trzeciej nad ranem, zdążyłem podziękować jej za rozmowę, motywację, jej czas. Dodałem też, że ma

ładny głos, odpowiedni do tej roboty. Ona kazała mi się nie poddawać.

Więc oto jestem. Po nieprzespanej nocy ziewam chęcią do życia i nasiąkam zapachem wilgoci w przypadkowej knajpie.

– Herbata. Na koszt tego pana.

Kobieta bez parasola składa zamówienie przy barze, wskazując na mnie dyskretnym ruchem głowy. Krople deszczu spływają z jej bordowych włosów na blat, rozmazując ekran namawiający nas do kupienia zupy dnia.

– Osiem dziewięćdziesiąt dziewięć.

Przesuwam dłonią nad skanerem. Dyskretnie wibrująca bransoleta zegarka informuje mnie o tym, że jestem już niebezpiecznie blisko dna konta.

Kobieta bierze pierwszy łyk z parującej filiżanki, oblizuje usta. Uśmiecha się do siebie. Łapię się na tym, że nie mogę oderwać od niej wzroku. Ona na pewno to czuje, mimo że nie patrzy w moją stronę. Kobiety wiedzą takie rzeczy.

Chcę jakoś zacząć rozmowę. Tak w ramach ćwiczeń z interakcji, oczywiście. Ale to ona pierwsza przerywa milczenie.

– Od dawna w Ketrze?

– Przyjechałem kilka dni temu. Aż tak to widać?

– Turystę zawsze łatwo poznać po spojrzeniu. Interesuje go wszystko wokół, w przeciwieństwie do mieszkańców, którzy po prostu snują się po ulicach ze wzrokiem skierowanym przed siebie.

– Prawda.

– Jak ci się podoba nasze miasto? – pyta, obrzucając mnie badawczym spojrzeniem.

– Wszystko jest inne niż to, do czego jestem przyzwyczajony. Może trudno w to uwierzyć, ale nigdy nie wyjeżdżałem z domu. To mój pierwszy raz.

Dziewczyna uśmiecha się. Przeczesuje dłonią swoje mokre włosy.

– Skąd pochodzisz? – pyta.

Cholera.

– Z północy – rzucam ogólnikowo.

Jesteśmy w okolicach sto osiemdziesiątego stopnia strefy B, więc technicznie rzecz biorąc, nie kłamię. Moje miasto rodzinne jest dokładnie na północ od nas. Jakieś dwa kilometry do przodu i kilometr w górę.

– Macie tam zimno, co?

– No, zimy bywają ciężkie – brnę dalej – ale w lato zdarzają się dni z temperaturą powyżej zera.

Dziewczyna zanosí się szczerym, przyjemnym dla ucha śmiechem.

Nie potrzebuję psychologa, żeby wiedzieć, że mój mechanizm obronny tylko pogłębia moją izolację.

Wszystko źle.

– Jeśli chcesz, mogę oprowadzić cię po okolicy – proponuje. – Znam kilka ciekawych miejsc, do których moglibyśmy razem zajrzeć.

Barman podnosi nieznacznie brwi, rzuca okiem na mnie, na dziewczynę i z powrotem na mnie. Jego głowa kilkakrotnie potakuje, dłonie ani na chwilę nie przestają szorować kufła po piwie.

W głębi duszy bardzo chcę powiedzieć jej prawdę. Wcisnąć to pomiędzy zdania w nadziei, że nie zauważy, albo sprzedać w odcinkach, dawkując napięcie, jakkolwiek, byleby oczyścić sumienie, a później wyjść stąd, kupić za ostatnie grosze parasol, który będę trzymał nad jej głową przez całą drogę. Powłóczyć się zlanymi deszczem ulicami, porozmawiać, wreszcie rozstać się i już nigdy nie spotkać, ale chociaż przez chwilę poczuć, że nawiązałem kontakt z drugim człowiekiem.

– Ej, ty jesteś tym gościem, co go wyrzucili z Ketry, co? Człowiek w dredach rozwiązuje mój problem.

– Tak – odpowiadam. – TAK! – mówię jeszcze raz, jeszcze głośniej.

Dziewczyna w bordowych włosach gapi się na mnie zaskoczona.

– Wyrzucili mnie ze strefy A, byłem w telewizji.

– Dzięki – mówi. – A ty, ziomek, przelewaj dychę – zwraca się do swojego kolegi, odchodząc.

Dzieciak z plecakiem niechętnie podciąga rękaw, zbliża zegarek do twarzy, zatwierdzając przelew skanem własnej siatkówki. Dziewczyna opróżnia filiżankę i wstaje.

– Miłego pobytu – rzuca przez ramię, oddalając się zdecydowanym krokiem w kierunku wyjścia. Barman wzrusza ramionami, przerzuca wzrokiem pomiędzy mną, dziewczyną i nalewakiem do piwa.

– Nie, dzięki – odpowiadam i też podnoszę się ze stołka, wzdychając ciężko. Zadanie domowe odrobione. Można wracać.

– Zabrałeś komuś z nas dwadzieścia pięć lat szczęścia –

głos z tłumu daje mi do zrozumienia, że powinienem przyspieszyć kroku.

Zarzucam kaptur na głowę i otwieram drzwi knajpy.
Huk wiatru.

Sztorm w kałużach.

* * *

Jest 28 października 2047 roku. W wypełnionej po brze-
gi Apple Arena gasną światła. Dziesięcioletni tłum
skanduje imię gwiazdy wieczoru. Pojedyncza wiązka la-
sera przecina mrok, nakreślając na scenie kontur kobiety.
Widownia milknie, lecz po chwili znów wznosi swoje
okrzyki, rozpoznając pierwsze dźwięki przeboju „You are
everything to me”. Kontur powoli wypełnia się barwą,
lekką unosi w powietrzu, wreszcie eksploduje światłem,
z którego wyłania się postać wokalistki. Anya – wirtualna
gwiazda każdym singlem bijąca światowe rekordy oglądal-
ności – zaczyna tańczyć w rytm dudniącej z ogromnych
głośników muzyki z pogranicza dub-popu i synthstepu. Jej
modulowany, lecz doskonale ludzki głos, stworzony przy
pomocy jednego z najbardziej zaawansowanych algorith-
mów przewidujących nawet pomyłki i fałszy, wypełnia salę
i porывa tłumy. Gdy przychodzi czas ostatniego refrenu
publiczność ze zdwojonym entuzjazmem zdziera gardła,
powtarzając „You are everything, everything to me, baby”.
Anya przygląda się fanom z zachwytem, zachęcając ich
do głośniejszego śpiewania. Nikt zdaje się nie zauważać,
że w jej ręku od kilku chwil zamiast mikrofonu znajdu-
je się potężny, połyskujący w świetle jupiterów pistolet.